ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX Warszawa, dnia 3 Września 1927 roku Nr. 36

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

34)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

VII

PIELĘGNIARKA

Wracając z opatrunku, Liza dowiedziała się, od posługacza szpitalnego Carskiego Sioła, że Dolin czeka na nią w rozmównicy. Ręce jej jeszcze nie otrzaskane z cierpieniem, drżały od bezpośredniego dotykania bólu, lecz gdy wymówiono nazwisko Jerzego, zesztywniały nagle, jakby je opuściła wszelka wrażliwość.

Młoda kobieta, opanowała się szybko. Pokoje, w których zamieszkiwała, nauczyły ją dyscypliny, nauczyły ją myśleć tylko o innych. I teraz myślała o cierpieniach, które on przeżywał w tej chwili. Nie widzieli się od tej nocy, kiedy opuścił ją jak pijany. Ile wzruszeń musiało przeżywać to męskie serce po tylu dniach rozłąki.

Pobiegła do rozmównicy, nie przyjrzawszy się nawet w lustrze i bez najmniejszego gestu kokieterji.

Zawahała się nieznacznie na progu i w tym momencie zrozumiała, że przyjście Dolina wskrzesiło w niej szereg ukrytych nadziei i pogmatwanych marzeń.

Obecność Jerzego była dowodem przyznania się do pomyłki. Widzenie się z carem oświeciło go. Znała zbyt dobrze dumę Jerzego, aby przypuszczać, że przyjdzie układać się z nią. Radość, jaką sprawiła jej ta myśl, uświadomiła ją, do jakiego stopnia była nieodzowną dla jej szczęścia miłość, której pamięć zachowała niby najdroższą ranę.

— Jerzy, Jerzy, tak się cieszę!

Żar tego okrzyku, był tak wstrząsający, że Dolin zbladł. Jak oprzeć się takiemu oddaniu? Skąd wziąć odwagę by zburzyć tyle radosnego zaufania?

W pierwszej chwili uniesienie Lizy porwało wszystkie argumenty i dowody, które przygotował sobie. Mocno do niej przytulony i przewyższając ją trochę, całował jej powieki, czoło, jak siostrę uratowaną od śmierci.

Nie spojrzeli nawet na siebie, twarze ich mało się liczyły w tej godzinie i, Dolin pomyślał, że jeżeli nawet to widzenie skończy się porażką, chwila jaką przeżywał, warta była wszelkich cierpień.

Lecz to przypuszczenie starczyło, by zniweczyć cały urok. Rozprószyła szczęście świadomość, że urok ten zaczerpnął z jej radości. Ręce opadły machinalnie, puszczając ramiona Lizy. Przestrzeń wytworzona pomiędzy ich ciałami, tak nagle, wydała mu się olbrzymią, i zdziwił się, że mogli być złączeni ze sobą z taką siłą.

I już badali swoje twarze. Zeszczupleli oboje. Lecz podczas gdy twarz Lizy nabrała żarliwości bardziej uduchowionej, rysy Dolina znaczyło zużycie. Młoda kobieta przypomniała sobie twarze niektórych rannych, a Jerzemu zdawało się, że fartuch i woal jej były białym rynsztunkiem.

Stali na wprost siebie z niezręcznemi uśmiechami, agonją radości zbyt szybko wyczerpanej, w niepewności, w jaką ich pogrążało to wzajemne odkrycie. Ale ten odblask pozwalający im milczeć jeszcze, zmarł. Na ustach pozostało smutne osłupienie.

Dolin czuł, że trzeba przerwać milczenie i to za wszelką cenę. Każda chwila poiła go opłakanemi wspomnieniami. Rozpoczął rozmowę o której marzył od pierwszej chwili, że będzie decydująca. Odezwał się słowami, których brzmienie sprawiło mu ból:

— Dobrze ci tutaj?

Zaskoczona takiem ubóstwem, Liza zawahała się. Lecz odgadując natychmiast zmięszanie Jerzego i ogarnięta litością, odpowiedziała szybko:

— Czy jestem szczęśliwa? Trudno powiedzieć. Nie powinnam czuć się szczęśliwą, będąc obok cierpienia. A jednak, wstydzę się przyznać, przyjemność jaką odczuwam, pielęgnując chorych, jest być może większa od przykrości, jakiej doznaję. Gdybyś w dodatku, wiedział, jakiemi spojrzeniami wynagradzają mnie!

Mówiąc, ożywiła się. Pragnęła początkowo nagiąć się do tonu Jerzego, ażeby uniknąć zbyt wielkiego skrępowania. Teraz była w niewoli swojego nowego życia. Objaśniała czynną jednostajność dni, które robiły wrażenie dni klasztornych. Odmalowała naiwnemi słowami, dzieje ran, cierpliwą walkę ciała. Jej twarz bardzej jeszcze uszlachetniona, pokazywała, że daleka od intryg, znalazła tam strawę godną jej litości.

Dolin słuchał pełen podziwu i lęku. To co ukochał w Lizie od pierwszej chwili i co było nawpół ukryte przez warunki życiowe, ukazywało się teraz w całej pełni. Żadnych fuzów na tym szlachetnym metalu. Blask stał się dziewiczym ogniem.

I rzeczywiście, młoda kobieta, stała się jeszcze piękniejszą. O ile też bardziej odległą! Dolin bywał czasem przerażony, znajdując ją zbyt wysoko, ponad ziemską miłością. Ale łagodny owal twarzy, zaledwie dostrzegalna miękkość ruchów, uspokajała go. I oto teraz, rysy jakby zahartowane w ogniu, ogołocone z wszelkiej słabości, a ciało zmienione w blok przeczysty i oporny wszelkim ranom.

— Wszyscy cię tutaj wielbią, jestem o tem przekonany, — szepnął Jerzy.

Były to wyrazy uznania, czy skargi? Nie potrafiłby odpowiedzieć, lecz Liza poczerwieniała, jak pochwycona na przewinieniu.

— Nie, doprawdy nie, — odrzekła Liza. — Inni pracują więcej ode mnie. A zwłaszcza Aleksandra Teodorówna.

Wymówiła imię cesarzowej, ze zbożną serdecznością. Nie była to już egzaltacja, jaka nastąpiła po pierwszem spotkaniu, lecz czułość, którą godziny zbliżenia utwierdziły i pogłębiły.

I Dolin uczuł, że pokój kończy się.

— Jest uosobieniem dobroci,—ciągnęła Liza.— Biedni oficerowie pielęgnowani przez nią, stają się jej synami.

I ona zrozumiała nagle, że układy nie były już możliwe. Chwytając Jerzego za rękę zapytała?

— Zastanawiałeś się Jerzy, prawda? Zrobiłeś podział pomiędzy oszczerstwem i prawdą.

Dolin skurczył się momentalnie. W chwili, gdy przybywał, ażeby przekonać ją, że jest w błędzie, ona sama atakowała go. Bunt wywołany tem odwróceniem ról wzmocnił jego odwagę.

— Tak jest, — odparł — widziałem prawdę gorszą, od oszczerstw.

— Ale... rozmawiałeś chyba z carem? — szepnęła zdumiona Liza.

— Tak. Rozmawiałem z uosobieniem słabości, niepewności, rezygnacji, nie śmiem powiedzieć fałszu. I widziałem jeszcze różne rzeczy, od czasu, kiedy rozstaliśmy się. Byłem na froncie.... Nie możesz sobie uświadomić! To męka. A wszystko zło pochodzi stąd, stąd. Słyszysz mnie. Od oszusta i od tych, które idą za nim.

Liza z rozpaczą przeczyła głową, zawołał więc:

— Nie wierzysz mi? Jak cię przekonać o prawdzie? Co czynić, Boże mój co czynić?

Przykro było patrzeć na niego. Pot wystąpił mu na skronie. Żyły drżały na jeszcze bardziej przezroczystem czole. Z oczu i ust buchała śmiertelna udręka.

Liza szepnęła:

— Jak strasznie cierpisz, mój drogi Jerzy! A ja cię kocham, kocham! I nic dla ciebie uczynić nie mogę!

Ujęła go za ręce, pieściła je i ściskała, jakgdyby pragnąc przelać w nie swoją bezsilną miłość.

— Kochanie, moje kochanie — krzyknął Dolin — chcesz mi przyjść z pomocą, jestem tego pewien! Na miłość boską, uczyń jeden wysiłek. Zapomnij przez jedną chwilę, o czarach, które cię zaślepiają. Wszystko zrozumiesz. Proszę cię tylko o jedną próbę. Uczyń to dla mnie.

Wzruszył ją, ale nie treścią słów, tylko brzmieniem głosu.

— Dobrze.

— Jutro sądzą Manuiłowa. Niech będzie Bóg błogosławiony, że nie zapomniałaś dotychczas o tem nazwisku. On cię zgubił. Może cię uratuję. Chodź ze mną na sprawę. Więcej nie powiem nic. Przekonasz się, przekonasz się....

— Nie powinnam tego uczynić, gdyż jest to intryga naszych wrogów, ale uczynię to dla ciebie i pójdę.

Wdzięczność opromieniła twarz Dolina. Zrobił się ruch na korytarzu. Pielęgniarki sunęły szybko przez korytarz.

— Napewno ona — szepnęła Liza. Patrz uważnie.

Zbliżały się kroki. Pomimo całej nienawiści Dolin wyprostował się jak na paradzie. Ta która nadchodziła, mogła zgubić Rosję, ale była małżonką cara, władczynią.

Przeszła gromada kobiet, ubranych biało. Pośrodku bardzo wysoka kobieta. Dolin widział ją zaledwie chwilkę. Rysy bolesne i dumne. Oczy zapatrzone w dal, i jakgdyby przyciągane przez siłę, która była znana im tylko. Sposób chodzena bardzo surowy.

— Ta kobieta ma śmierć wypisaną na czole, — rzekł Dolin powoli.—Wiele błędów będzie jej darowanych.

Liza objaśniała go jak we śnie:

— Nie widziała jeszcze Ojca. Byłaby piękniejsza....

— Ach! trzeba jej Rasputina? A więc...

Urwał, myśląc z przerażeniem, że omal nie zwierzył tajemnicy. Lecz straszne skrzywienie, które zarysowało się na ustach, zmroziło młodą kobietę. Rozstali się prawie natychmiast.

VIII

GŁUSI I NIEMY

Po pijaństwie, które się przeciągnęło aż do rana, Iwan Barnew, król reporterów, udał się bezpośrednio do sądu. Głowę miał ciężką, usta zżarte alkoholem i wzdychał tylko do snu. Ale zaledwie wszedł do wielkiego budynku wyglądającego i jak koszary i jak kościół, oczy ożywiły się pod obrzmiałemi powiekami.

Bowiem, już w korytarzach, panowała atmosfera niepewności i wyczekiwania, na którą dziennikarz był najbardziej wrażliwy. Wyżsi urzędnicy przechadzali się z powagą. Reporterzy biegli do telefonu. Pokazywano słynnego generała żandarmerji Komissarowa, oraz hrabiego Borka, osobistego sekretarza Sturmera.

Barnew szukał Piotra Laurentjewa. Był to jedyny kolega, który udzieliłby mu prawdziwych informacyj, lecz Piotr nie nadszedł jeszcze. Już dziennikarze i prawnicy otoczyli Barnewa. Przypuszczano, że posiada, jak zwykle, nadzwyczajne wiadomości, chciano wydobyć od niego jakieś szczegóły. On nic nie wiedział, ale uśmiechał się jak wtajemniczony.

Pytania, któremi go zasypywano, dawały mu możność dowiedzenia się wielu rzeczy, bez zasięgnięcia informacji.

— Prawda, że w południe?

— Ale proces będzie odroczony?

— Nie słyszał pan, że trybunał otrzymał rozkaz?

— Cesarzowa zajmuje się tem bardzo.

— Manuiłow oświadczył, że jest spokojny.

Usłyszawszy od innych, to, czego nie wiedział dotychczas, Barnew odsunął się od otaczających go ludzi i biorąc jednego z sędziów poufale pod ramię, zaciągnął go w kąt. Sędzia streścił mu w kilku słowach całą sprawę. Była dosyć powszednia: nadużycie wpływów i szantaż. I nie to było ważne. Proces nabierał większego znaczenia, dzięki temu, że Manuiłow należał do przyjaciół Rasputina, których dotychczas nikt nie śmiał tknąć. Skarżąc figuranta, atakowano Rasputina, a co za tem idzie — cesarzową. W klikę Carskiego Sioła godzono po raz pierwszy. Sam fakt dopuszczenia do procesu, był dowodem, że rządzący boją się.

(D. c. n.)

EUSTACHY CZEKALSKI

1) Dwadzieścia osiem schodów z pałacu Piłata

Nad zadrzewionem rzymskiem wzgórzem Pincio płonie słońce. Wśród alei parku, snują się rozkochane pary, mkną automobile anglików. Po bocznych drożynach kopyta końskie stukają rytmicznie w takt serc, obudzonych wiosenną ponową.

Na młodej trawie dziecięce stopy znaczą swój ślad niewinny. Starcze, trzęsące się nogi wolą ścieżki utarte, wychodzone. Ławki pełne matek, nianiek, eleganckich pań i cudzoziemskich panów.

Sandro kluczy wśród alei, wyczekuje, wypatruje. Duże czarne oczy wbił w perspektywę i zmarszczył pięknie sklepione czoło.

— Nie wymkniesz mi się, dzierlatko — pomyślał.

Wyszczerzył białe, równe, drapieżne zęby i jak młody pies rozszerzył nozdrza zgrabnego nosa. Chodził już z kwadrans po alei, wiodącej do willi Borghese. Bacznie śledził poruszenia wskazówki na sekundniku zegarka, który miał na ręku.

Męko piekielna! Minęło znów pięć minut — nie przyszła. Czyżby śmiała zawieść jego oczekiwania? Wiedział, iż podoba się Gracji. A może to niemądra rada jakiejś nieproszonej przyjaciółki?

Spojrzał w niebo. Było głębokie, przezroczyste, lazurowe. Wysokie pinje bezchwiejnie roztaczały nad jego głową swoje pióropusze. Wskazówka znów mechanicznie posunęła się o kilka minut. Widocznie zlekceważyła go: nie przyjdzie.

— Nie oprze się, — głośno, niecierpliwie rzucił pogróżkę na trawnik parku Pincio zuchwały, dorodny Sandro.

Poczekał jeszcze z kwadrans. Zszedł drogą w stronę Ogrodu Zoologicznego, zawrócił do tramwaju.

* * *

Przez kilka dni krążył o przedwieczornej godzinie na Corso Vittorio Emanuele. Przechadzał się po placu Venezzia. Zbaczał na forum Trajana. Wybierał wszystkie drogi i dróżki, na których spotykał Grację, lecz znaleść jej nie mógł.

— Czyżby wyjechała z Rzymu? — medytował.

Niepowodzenie doprowadzało go do wściekłości. Gładko, aksamitnie płynęło mu przecież życie. O nic się nie troszczył. Zamożni rodzice dostarczali pieniędzy, a uniwersytet nie nakładał zbyt wielkich obowiązków. Miał miłych przyjaciół. Urodziwe angielki nie nudziły się w jego towarzystwie na potajemnych dancingach.

Któżby zresztą nudził się w towarzystwie Sandra? Zuchwałość jego sądów, żywość wyobraźni, wdzięk i zgrabność pociągały. Jak na wiek swój, był może aż nazbyt i to jednostronnie oczytany. Nie uznawał żadnych powag. Nie było dla niego twierdzenia, któreby nie dało się sprowadzić do absurdu.

Bałamuciło go życie: miał dotychczas wszystko, czego zapragnął.

* * *

Znużył się krążeniem po piazza Venezzia. Poszedł w stronę Corso Vittorio Emanuele. Na placu Ges'u usiadł przy stoliku kawiarnianym i zamówił oranżadę. Wtem ujrzał, jak z za węgła jezuickiego kościoła wyszła Gracja. Zerwał się i wyciągnął ręce na powitanie. Dorodna, strojna dziewczyna spokojnie zawróciła w stronę kościoła. Rzucił parę lirów na spodek i pobiegł za nią. Przyćmione światło bogatej, olbrzymiej świątyni powitało go chłodem. Nawa wypełniona była ludźmi. Na podjum obitem zielonem suknem stał ksiądz - jezuita i w ozdobnych, okrągłych zdaniach, gromił ułomności ludzkie.

Sandro nie słuchał pouczeń. Tłoczył się między ludźmi, szukał Gracji. Zginęła mu w kościele. Byłby zamknął drzwi, gdyby mógł, byleby mu znów nie uszła. Wtem sięgnął ją okiem klęczącą, przytuloną do ściany. Niemal przedarł się do niej. Ukląkł. Sciszonym głosem wyszeptał:

— Czemuś mnie ominęła?

Nic nie odpowiedziała, zatopiona w modlitwie. Nie spojrzała na niego. Podniósł się i wsunął jej rękę pod ramię, by powstała. Oparła się. Stał zły przy niej, lecz nie ważył się na nowy atak. Słowa przemówienia kapłana padały, jak cieplarniane, ozdobne kwiaty między ludzi. Musiał wysłuchać do końca kazania i nabożeństwa wieczornego. Gracja klęczała, zasłuchana w śpiewy; chciał podchwycić choć jej spojrzenie. Nie udało mu się. Wzrok miała utkwiony w posadzce.

Gdy nabożeństwo skończyło się, Gracja wyszła z kościoła. Pilnował jej pieczołowicie. Milczał, choć słowa tłoczyły mu się w ustach przez cały czas bytności w kościele. Gdy przestąpił próg świątyni, nie wytrzymał i wybuchnął wyrzutem:

— Com ci zawinił, że mnie tak karzesz?....

— Nasze drogi rozchodzą się, panie — cicho powiedziała i chciała odejść.

Chwycił ją mocno pod ramię i nie puścił. Nie chciała się szarpać. Biernie na chwilę, poddała się przemocy.

— Musimy się jednak rozmówić!....

— Nie życzę sobie rozmów, wyjaśnień, komentarzy.

— Gniewasz się na mnie?....

— Nie życzę sobie znajomości — twardo odrzekła.

— Kocham cię i będziesz moją... — podchwycił wyzywająco. Powiedział słowa te gorąco, z przekonaniem.

Spojrzała na Sandra. Czarne jego oczy zamigotały ogniem.

— Od kilku dni wypatruję cię wszędzie. Zginęłaś mi i nie mogłem cię odnaleść. Czyżby cię przeraziła, że cię pragnę?....

Gracja stanęła u wylotu piazza Venezzia i powiedziała:

— Żegnam pana. Proszę za mną nie iść. Spieszę na kolację.

— Pod warunkiem, że jutro przyjdziesz — usiłował nawiązać nić.

— Nie przyjmuję żadnych warunków.

Łomot tramwajów, zgiełk automobili, gwar spieszącego tłumu zagłuszył jej słowa. Szybko wbiegła w Corso Umberto i zniknęła mu z oczu nim zdążył się zorjentować. Poszedł za nią, nie znalazł. Stanął więc na miejscu, gdzie mu zginęła i czekał niemal cudu. Niestety, Gracja nie wróciła.

Powlókł się w stronę Via San Marco. Wszedł do pierwszej spotkanej restauracji i kazał podać so-

bie kolację. Znalazł się wśród przyjaciół. Prędko spożyto jadło. Przy deserze i wonnej Marsali rozwiązały się języki. Na boku rozłożyli się już partnerzy do gry w karty.

— Z kobietami trzeba delikatnie — wywodził stary, otyły jegomość. — Lubią przysięgi prawie tak, jak prezenty. Kto chce posiąść ich względy, musi zręcznie zadośćuczynić tym życzeniom....

— Przyrzeczenia wiążą — odezwał się ktoś z kompanji...

— Nic nie wiąże rozumnego człowieka — dorzucił lekceważąco otyły jegomość. — A zresztą nie żądają nawet dotrzymywania obietnic. Jest to zwykła, konwencjonalna frazeologja, potrzebna do dekoracji chwili.

Sandro pociągnął duży łyk Marsali i roześmiał się głośno. Podchwycił rozmowę:

— No, a jeżeli znajdzie się taka, co weźmie takie słówko serjo?....

— Tem gorzej dla niej. Jest to gęś, nie warta zachodu.

Na stole zjawiła się niebawem nowa butelka Marsali.

* * *

Gracja wróciła do swego panieńskiego pokoju wzburzona. Dopiero tu, wśród czterech ścian samotni — mogła dać upust tłumionym żalom, dławionym łzom. Rozpłakała się na dobre. Kochała przecież Sandra, nie mogła jednak ambicji swojej narazić na szwank. Oczy słodkie, dobre a mogące siać radość, przesłoniły się troską i cierpieniem. Czemuż poszła w ten straszny dzień do villi Borghese patrzeć na Tizianowską „Miłość ziemską i niebiańską"? Czyż nie pracowała spokojnie, wśród ksiąg buchalteryjnych, uśmiechnięta, zadowolona ze swego losu?....

Napewno nie odważyłby się Sandro na słowo nieprzytomne, raniące, gdyby wiedział, iż jest księżniczką Torlonja lub ducissą d'Aosta....

Bóle swoje zawierzyła konfesjonałowi. Otrzymała radę: Kościół zna sakrament małżeństwa i błogosławi sercom, żyjącym w chrześcijańskim obowiązku.

* * *

Upalny dzień dobiegał kresu. Od morza Tyreńskiego przyszły chłodne, rozkoszne powiewy. Rzym huczał, wrzał, pienił się nadmiarem ruchu samochodowego, tramwajowego. Przy zapadającym zmierzchu wypełzły z izb i pałaców mrowiska ludzkie, by odświeżyć płuca ukojnem, chłodnawem powietrzem.

Gracja wydostała się ze swojej samotni i postanowiła zrobić spacer na wzgórze Gianiculo. Naumyślnie pojechała na Zatybrze, by nie spotkać przypadkiem Sandra. Stanęła pod pomnikiem Garibaldiego, a u jej stóp rozłożyła się panorama Rzymu. Światła elektryczne pełgały miljonem ogników.

O, miasto wieczne! Mauzoleum ludzkiej świętości i występku. Rzymie Cezarów i Rzymie mądrych Pasterzy — kto nie łupił twoich skarbów? Kto nie biegł do twoich świątyń i nie szukał wśród misternych złomów kamieni objawień duszy? Czyż możesz dać ukojenie? Czy nad rozterką rzucić możesz tęczę spokoju?.....

Odeszła w boczną aleję, biegnącą przy szkarpie muru. Usiadła na pierwszej spotkanej ławce i oddała się delikatnej i uporczywej analizie własnego serca. Nie trwało to długo.

— Ach, jesteś! Jakże się cieszę! — usłyszała głos Sandra. Usiadł bez zaproszenia koło niej.

— Myślałem o tobie. Znajduję cię, jak utraconą tęsknotę....

Milczała. Oczy utkwiła w perspektywie panoramy. Widziała białe marmury pomnika Niepodległości Włoch.

— Przyznaj się, że chciałaś mnie też zobaczyć?

Nie odpowiedziała.

— Milczysz? Potwierdza to moje mniemanie.

Uśmiechnęła się lekko, niepostrzeżenie.

Granatowe niebo, głębokie, rozjaśnione gwiazdami, jak czarodziejski baldachim roztoczyło swoje aksamity nad miastem.

— Może pojedziemy na tańce?—zaproponował.

— Dziękuję — grzecznie a obojętnie odrzekła.

— Jakże się cieszę, żeś mi odpowiedziała. Słyszę znów twój melodyjny głos. Proszę, chodźmy na dancing....

— Nie pójdę.

— Pięknie jest tu, na Gianiculo, ale w dancingu byłoby przyjemniej.

— Nie szukam przyjemności. A nie mogę powiedzieć, bym wspomnienie pobytu z panem na tańcach uważała za miłe.

— Aż tak obraziłem?.... Pozwól się przeprosić.

Chciał chwycić jej ręce i przeprosić. Nie pozwoliła.

— Jesteśmy zresztą ludźmi różnych sfer towarzyskich....

— Nie rozumiem, a chciałbym wiedzieć wszystkie twoje życzenia.

— Czyżby to było szczere?

— Jak mam cię upewnić?...

— Przysięgnij na imię matki twojej....

— Przysięgam.... — powiedział bez namysłu lecz chwiejnie.

— I powtórzysz słowa te u stopni Chrystusowych?....

— Nie rozumiem twojego żądania?! Czyż nie wszystko jedno, czy mówię ci wobec aksamitnego granatu nieba, miljarda gwiazd i leżącego u naszych stóp Rzymu....

— Chodź ze mną do kościoła gdzie przechowują się święte schody z pałacu Piłata w Jerozolimie i przysięgnij mi tam na dwudziestym ósmym stopniu, że prawdą są twoje słowa....

— Czemu nie żądasz, bym przysiągł ci na posadzce S. Croce in Gerusalemme? A może wolisz w kościele Św. Jana na Lateranie?....

— Ty żartujesz sobie z mojej wiary?!

Podniosła się z ławki i skierowała się w stronę Watykanu. Znalazł się u jej boku.

— Nie myślałem, że może ci to zrobić przykrość. Ludzie współcześni nie przywiązują zbytniej wagi do rzeczy martwych...

Nie chciała go słuchać. Przyspieszyła kroku. Gdy schodzili zygzakowatą drogą z Gianiculo, powiedziała:

— Niema rzeczy martwych, gdy dotknie się ich wiara.

— Urocza dziewczyno, cóż mnie obchodzą wszystkie teorje, gdy twoje usta okrutnie zacięły się? Nie wierzę w kamienie, których autentyczności historja, niestety, nie potwierdza.

— Bluźnisz!

— Prawdą jesteś ty i moje serce spragnione, niecierpliwe, płonące!.....

(Dok. nast.).